

Nie ma nic wiecznego na tej ziemi

Michał Tyszkiewicz. Romantyczny podróżnik - uczony antykwariusz.

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Michał Tyszkiewicz

Ogromnego wzrostu, z wielką rudą brodą, serdeczny i przyjazny, Michał hr Tyszkiewicz to jeden z potężniejszych magnatów na Litwie. Jako najstarszy syn Józefa i Anny z Zabiełłów odziedziczył bardzo dobrze zagospodarowaną ordynację Birże, która przynosiła ogromny dochód, nie licząc oczywiście innych rozległych dóbr na Litwie, Białorusi i Polesiu, z których czerpał duże zyski. Poza tym, jak każdy z trzech braci, otrzymał w spadku milion rubli, co było, jak na owe czasy majątkiem nie małym. Jednym słowem fortuna Tyszkiewicza była ogromna, stał on więc w kręgu najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi na Litwie.

Michał Tyszkiewicz (1828-1897) otrzymał bardzo staranne domowe wykształcenie, a w 1848 roku ukończył Gimnazjum w Wilnie. W 1854 roku ożenił się z Marią z Radziwiłłów, córką księcia Mikołaja (z linii berdyczowskiej) i osiadł w Gródku Ostroszyckim, rezydencji ordynacji Birżańskiej. Tu powoli zaczął rozwijać swoją największą, życiową pasję – kolekcjonerstwo. Wzbogacał odziedziczone zbiory o rzeźby, obrazy, pamiątki narodowe, a w późniejszym okresie nadesłane zabytki sztuki antycznej pochodzące z własnych wykopalisk. Jako zapalony podróżnik i myśliwy wyruszył na kilka wypraw afrykańskich, które bardzo wpłynęły na rozwój jego zainteresowań. Na własną rękę podjął się prac wykopaliskowych w Egipcie. Aby zaspokoić swoją pasję poszukiwacza i kolekcjonera osiadł na stałe w Włoszech i stąd organizował kolejne wyprawy. Mieszkał przez 25 lat w Neapolu, Paryżu i Rzymie. Rodzina nie miała o nim najlepszego zdania, zdawkowo wspominano o jego pasjach i odkryciach, gdyż miano mu za złe, że opuścił rodzinę, żonę i czwórkę małych dzieci. Najstarszy Józef, późniejszy autor „Tyszkiewiczianów” miał wtedy 12 lat, jego brat Jan – 10, a siostry Jadwiga i Wiktoria 5 i 3 lata. Kuzyn Eustachy Tyszkiewicz, w liście do brata. pisał, że Michał w ogóle nie interesuje się Birzami, bardzo się zmienił i kłóci się o każdy mebel. Michał natomiast związał się z Juliette le Beaux, której ekscentryczne zachowanie raziło sfery wyższe. Po długim związku ożenił się z nią, ale dzieci nie mieli.



Pałac Tyszkiewiczów w Łohojsku

Od zerwania stosunków z rodziną i zostawienia ordynacji (choć oficjalnie Michał był do śmierci ordynatem birżańskim) Tyszkiewicz całkowicie poświęcił się pasji kolekcjonerskiej, rozwinął swoją żylkę żądnego przygód odkrywcy. „W roku 1862 kupiłem willę w Neapolu i bez ociągania się zacząłem czynić przygotowania do prowadzenia wykopalisk w sąsiedztwie” – pisał we „Wspomnieniach”. Wybrany terenem pierwszych badań było cmentarzysko Kume, w Kampanii nad Morzem Tyreńskim, jednej z najstarszych kolonii greckich w Italii, gdzie znajdowała się kiedyś słynna wyrocznia Sybilli. Ponieważ Michał nie odniósł tam dużego sukcesu zwrócił ku położonym niedaleko Pompejom. Zgłosił ofertę sponsorowania tam wykopalisk na wielką skalę, których celem byłoby odkopanie całego zespołu ruin. Ta szokująca propozycja nie została jednak przyjęta, więc Tyszkiewicz przeniósł się do Rzymu i prowadził działalność wykopaliskową na terenie Lacjum. I tam odniósł duży sukces. W okolicach miasta Acjum – rezydencji rzymskich cesarzy odkrył ślady starożytnej świątyni. Następnie prowadził badania na terenie etruskiego miasta Weje, a także w samym Rzymie na słynnej drodze Via Appia. Po tych sukcesach przeniósł się dalej w przeszłość, czyli na teren Egiptu i Nubii. Już wcześniej (1861/62) odbył egipską podróż, o której pisał: „Moja podróż do Egiptu i wykopaliska, które tam prowadziłem wywarły wielki wpływ na moje życie, ponieważ od tego czasu moja miłość do archeologii stawała się coraz silniejsza i w rok po moim powrocie na Litwę zdecydowałem się wyjechać i żyć w kraju, gdzie mógłbym zaspokoić to pragnienie”.

I tutaj, właśnie na terenie starożytnego Egiptu, Michał hr Tyszkiewicz dokonał najwięcej odkryć, a jego pasja kolekcjonerska doprowadziła do tego, że uznany został za jednego z większych zbieraczy starożytności egipskich, II poł. XIX w.

Tyszkiewicz do „podboju” Egiptu przygotowywał się niezwykle sumiennie. Kupił kilka dzieł wybitnych egiptologów (m.in. „Gramatykę języka egipskiego” J. Fr. Champolliona – odkrywcy sposobu odczytania hieroglifów) studiował historię, staroegipskie wierzenia, religię.

Egipska przygoda hrabiego przypadła na ciekawy okres w dziejach samego Egiptu. Państwo to stanowiące wówczas oficjalnie część imperium otomańskiego, podlegające władzy sułtana i będące pod panowaniem lokalnej dynastii potomków Mehmeda-Alego, wchodziło w krótki okres własnej niezależności. Mohammed Said

Basza, za panowania którego Michał Tyszkiewicz odwiedzał Egipt nosił jeszcze tytuł wice króla i był namiestnikiem sułtana. W 1869 roku nastąpiło uroczyste otwarcie Kanału Sueskiego, a dwa lata później w obecności kilku koronowanych głów i ambasadorów wszystkich znaczących państw, odbyła się w Kairze, w specjalnie na ten cel wybudowanym gmachu opery, światowa prapremiera „Aidy” Verdiego, która nawiązuje do czasów faraonów i realizuje egipski mit snu o potędze. Scenografię opery przygotowano z wielkim rozmachem, a czuwał nad jej realizacją i wierności starożytnym realiom autor libretta, August Mariette, założyciel Egipskiej Służby Starożytności i dyrektor Muzeum Starożytnego w Egipcie.

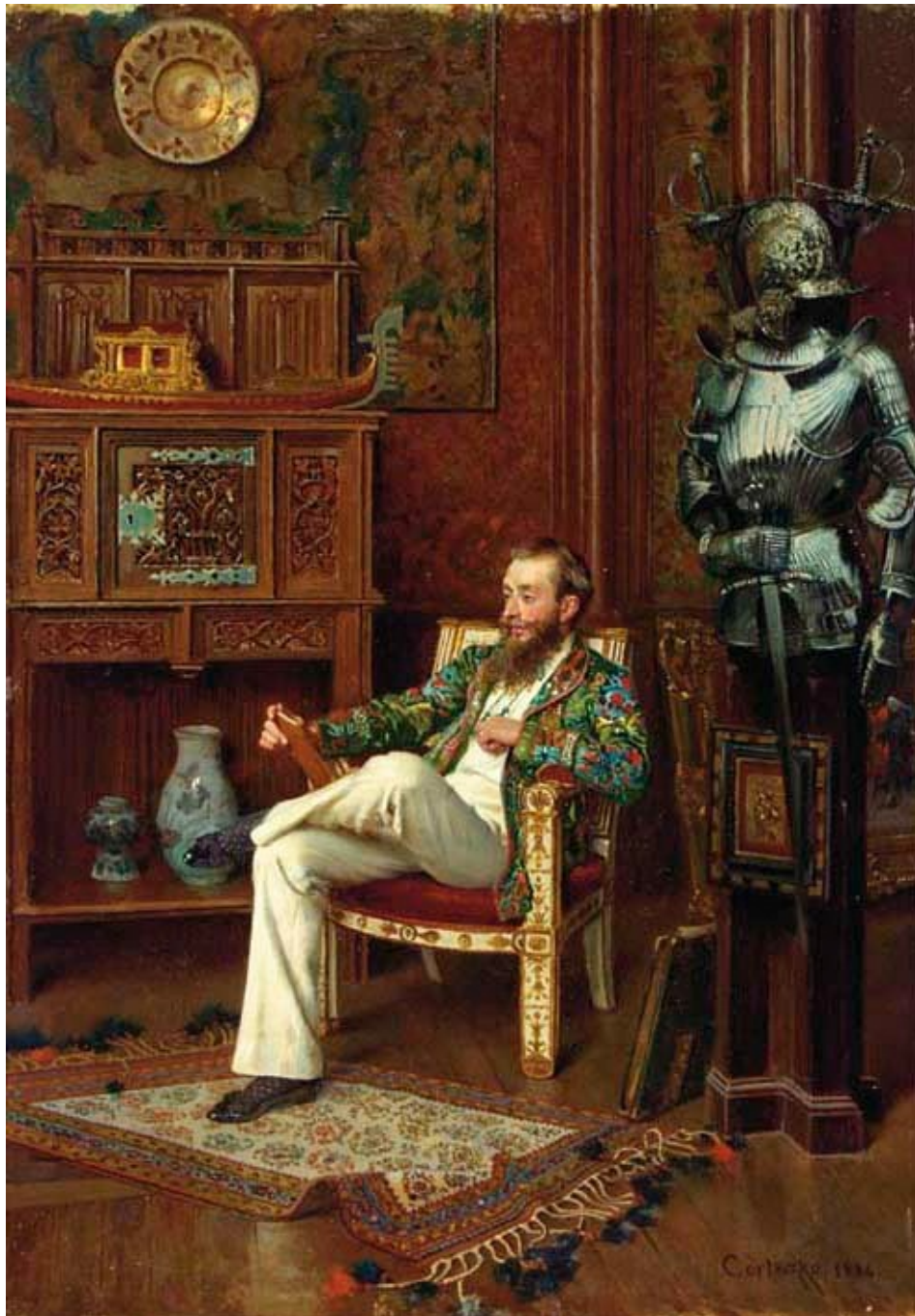


Posążek kapłana,
z kolekcji
Tyszkiewicza,
zaginiony podczas
wojny.

Michał Tyszkiewicz później zaprzyjaźnił się z Mariettem i działał za jego zgodą oraz pod jego kierunkiem. Mariette był francuskim egiptologiem i asystentem konserwatora działu egipskiego w Luwrze, a wślawił się odkryciem słynnego serapeum memfickiego w Sakkarze, zawierającego podziemny cmentarz świętych byków. Był on twórcą nowoczesnego podejścia do wykopalisk. Twierdził, że odkrycia na tym terenie powinny być źródłem informacji, a nie miejscem „polowania” na zabytki. Dlatego wydobyte przedmioty powinny być zabezpieczone w muzeach. Za Marietta zgoda na rozpoczęcie samodzielnych wykopalisk nie była więc łatwa do uzyskania, koncesję mógł udzielić tylko sam Mariette, lub ewentualnie w wyjątkowych przypadkach wicekról. Jak więc hrabiemu Tyszkiewiczowi udało się zdobyć takie pozwolenie? Na pewno jego fortuna i pozycja w świecie dawały mu przewagę nad „zwykłymi” turystami. Podróżował jako ważna osoba, jego bagaż omijał komorę celną, a rosyjscy konsulowie osobiście go odwiedzali w hotelu. Przybycie statku Tyszkiewicza witano salwami armatnimi. Tak więc w tym przypadku konsul rosyjski zorganizował mu audiencję u wicekróla Saída Baszy. Po miłej rozmowie Said obiecał list polecający, który miałby mu ułatwić działalność na terenie Nubii, po czym, zapomniał o danej obietnicy. Po interwencji konsula,

prawdopodobnie bez zgody Marietta, aby zrekompensować czekanie, udzielił Tyszkiewiczowi pozwolenia na prace wykopaliskowe na terenie całego kraju. Tyszkiewicz był więc jedynym Polakiem, który pod własnym nazwiskiem prowadził prace archeologiczne. Wykopaliska w Tebach zachodnich przyniosły mu wspaniałe wyniki. Oprócz znalezionych luźno mumii po trzech dniach ekipa natrafiła na nie otwarty grób od czasów starożytnych. W grobie tym „u stóp czterech skrzyń grobowych na ziemi leżących stał stołek z drzewa sykomorowego – wklęsły u wierzchu, na nim błękitna fajansowa misa, na dnie której jakieś zeschnięte resztki potrawy”.

Michał Tyszkiewicz przekazał niewielką część swoich zbiorów na Litwę, resztę otrzymał Luwr. Rodzina, Eustachy i Konstanty Tyszkiewicz, członkowie Wileńskiej Komisji Archeologicznej, powołanej kilka lat wcześniej do życia razem z Muzeum Starożytności przez Eustachego, robiła kuzynowi wyrzuty, że tylko część zbiorów trafiła na Litwę. Michał Tyszkiewicz argumentował swoją decyzję w ten sposób, że na Litwie zbiory byłyby tylko ciekawostką, a we Francji będą służyć nauce. Jeszcze jednym argumentem było bezpieczeństwo zabytków. Trzeba pamiętać, że Polska była wówczas pod zaborami i nikt nie wiedział, jakie jeszcze burze dziejowe przez nią przejdą.



Oreste Cortazzo, Portret Michała Tyszkiewicza z 1884 roku.

Michał Tyszkiewicz spisał swoje doświadczenia w „Dzienniku podróży do Egiptu i Nubii”. Oprócz drobiazgowego zapisywania codziennych wydarzeń i kolejnych odkryć, pamiętnik ten jest fantastycznym materiałem poznawczym tego okresu w Egipcie, pełnym barwnych obyczajowych scenek i ludzkich sytuacji. Michał Tyszkiewicz wyraźnie podkreśla ignorancję władz w stosunku do zabytków starożytnych oraz brak kultury arabskich notabli, w europejskim znaczeniu. Cytuje

na przykład rozmowę z wicekrólem, który mówi do Tyszkiewicza, żeby zabrał sobie i wywiózł ile chce mumii, skoro tu są, bo on jest zainteresowany żywymi kobietami, a nie takimi sprzed tysiącleci. No, ewentualnie, jeśli któraś miałaby biżuterię, która podobałaby się jego żonie, to prosi o zawiadomienie. W innym momencie Tyszkiewicz opisuje ekskluzywne przyjęcie i wielkie zdumienie, w jaki wprowadził go sposób jedzenia.

Pamiętnik ten, przez wiele lat uważany za zaginiony, został odnaleziony i opublikowany przez egiptologa z Uniwersytetu Warszawskiego, Andrzeja Niwińskiego. Rodzina Michała Tyszkiewicza twierdziła, że „Dziennik” spłonął podczas zawieruchy wojennej. Taka też jest historia księgozbioru Józefa Tyszkiewicza, najstarszego syna Michała. Księgozbiór trafił do poznańskiego bibliofila Stanisława Latanowicza, a następnie został zakupiony przez Zarząd Miasta Poznania i przekazany do Biblioteki Raczyńskich. W 1945 roku biblioteka wraz z cennymi zbiorami spłonęła. Ale w 1943 r. Józef Aleksander Raczyński zaoferował okupacyjnym władzom przechowanie części zbioru w swoim majątku w Obrzycku pod Szamotułami. Tam też wywieziono cenne rękopisy, m.in. „Dziennik” hrabiego Michała. Poszukiwany rękopis został odnaleziony w 1992 roku.

zob. „Egipt zapomniany czyli Michała hr Tyszkiewicza Dziennik podróży do Egiptu i Nubii (1861-1862)”, wstęp i opracowanie tekstu Andrzej Niwiński, wyd. Pro-Egipt, Warszawa 1994.

Lech Majewski: Inspiracją jest zawsze obraz



Lech Majewski

Barbara Lekarczyk-Cisek: *Jest Pan artystą obdarzonym wieloma talentami: pisarskim, poetyckim, malarskim, muzycznym, tworzy też autorskie kino. Ale w młodości zapowiadał się Pan przede wszystkim jako artysta malarz. Podobno, mając bodaj czternaście lat, zorganizował Pan pierwszą wystawę, wybierał się na studia na ASP... Skąd więc nagle kino?*

Lech Majewski: Aby to wyjaśnić, muszę sięgnąć wstecz, do czasów, kiedy jeździłem na wakacje do Wenecji. Często wyjeżdżałem tam jako nastolatek, we Włoszech mieszkał bowiem mój wujek, który był profesorem konserwatorium muzycznego. Właściwie mieszkał w Mediolanie i był krytykiem muzycznym „Corriere Della Sera”, specjalizującym się w recenzjach koncertów La Scali, a przez cztery dni uczył historii kompozycji w weneckim konserwatorium. W lecie jego mieszkanie akademickie było wolne, więc zaproponował nam, że możemy z niego korzystać. Tym sposobem spędzałem całe wakacje w Wenecji, w której do dziś pomieszkuję i która stała się najbliższym mi miastem, obok Katowic. W Katowicach narodziłem się fizycznie, a w

Wenecji duchowo i ... filmowo.

To miasto jest soczewką wszystkiego, co się dzieje w sztuce. Na Biennale w Wenecji poznałem takich twórców współczesnej sztuki, jak Roy Lichtenstein, Andy Warhol czy Giorgio de Chirico. To były czasy, kiedy artyści nie byli tak niedostępni jak dzisiaj.

Oprócz tego obcowałem ze sztuką dawną i byłem zakochany w małym obrazie Giorgione`a, zatytułowanym "Burza" - bardzo tajemniczym, którego głębia kolorów i aura tajemniczości sprawiały, że spędzałem przy nim całe godziny. W owym czasie malowałem i wybierałem się na Akademię Sztuk Pięknych. Otóż w pewnym momencie tam, w Wenecji, uświadomiłem sobie, że tajemniczą atmosferę z obrazu Giorgione`a niedawno widziałem w kinie, w scenie parku z "Powiększenia" Antonioniego. Jest w niej brzemienista cisza. Zdałem sobie wówczas sprawę, że gdyby Giorgione żył w naszych czasach, to z pewnością robiłby filmy. Tak więc zdecydowałem się zdawać do szkoły filmowej pod wpływem "Burzy", nie wiedząc wiele o filmie. I chociaż nie spełniałem wymogu formalnego (nie miałem ukończonych wyższych studiów), zostałem przyjęty. Wcześniej byłem na konsultacji u Henryka Kluby, któremu pokazałem swoje obrazy, rysunki, fotografie i wiersze. I to on zachęcił mnie do zdawania, dając nadzieję, że dostanę się na studia, jeśli zdam egzamin. Powiedział, że będę eksperymentem i tak się stało. Byłem najmłodszy na roku, o siedem lat młodszy od drugiego najmłodszego studenta.

BLC: *Podobno Antonioni jeszcze raz się Panu przysłużył, kiedy pojawił się osobiście w łódzkiej Filmówce...*

LM: Antonioni nie miał w planach wizyty w szkole filmowej - miał być w „Kwancie” - legendarnym klubie filmowym, którego szef, Andrzej Słowicki, zaprosił mnie na to spotkanie. Ponieważ jednak następnego dnia rozpoczynałem realizację etiudy pod auspicjami Jerzego W. Hasa, który był niesłychanie wymagający, toteż zrezygnowałem z wyjazdu do Warszawy. Nie znałem wtedy dobrze języka filmowego, a musiałem stworzyć precyzyjny scenopis, którego uczyłem się na pamięć. I tak nie spałem całą noc, bo miałem wyrzuty sumienia, że nie pojechałem na spotkanie z Antonionim, a poza tym przeżywałem mający nastąpić nazajutrz mój pierwszy plan filmowy. Tymczasem w poniedziałek rano w szkole pojawił się niezapowiedziany

Antonioni. Dosłownie wyrwałem się z planu, bo mój kierownik produkcji nie chciał mnie wypuścić na to spotkanie. Byłem jednak zdeterminowany. Kiedy się pojawiłem w szkolnej sali kinowej, wszyscy siedzieli w nabożnej ciszy, bo nikt nie ośmielił się zadać pytania. W końcu ktoś zapytał, nawiązując do "8 i pół" Felliniego, kiedy reżyser zrobi swoje „9”? Na co Antonioni odpowiedział, że już zrobił - "Zawód reporter", z którym właśnie przyjechał do Polski na Konfrontacje. W końcu odważyłem się i zadałem praktyczne pytanie o to, czy kiedy idzie na plan, to też się uczy na pamięć scenopisu. Odpowiedział, że przeciwnie - stara się zapomnieć. Zdenerwowała mnie wówczas jego odpowiedź. Pomyślałem, że otrzymałem w odpowiedzi zgrabny *bon mot*, więc mu powiedziałem, żeby sobie ze mnie nie kpił, bo to dla mnie rzecz niezmiernie ważna. Na co uśmiechnął się i odparł, że mnie bynajmniej nie zbył, bo kiedy idzie na plan, to naprawdę nie chce pamiętać, co ma kręcić, tylko patrzy, jak wygląda świat: jaka jest pogoda, jakie światło, jak się układają włosy jego aktorki... I z tego próbuje zbudować scenę. A jeśli mu to nie wychodzi, wzywa asystenta, żeby mu przypomniiał, co mają dzisiaj kręcić.

Poszedłem potem do atelier, na swój plan filmowy - zdruzgotany tym, jak tandetnie wygląda otaczająca mnie rzeczywistość. Wszystko było stare, brzydkie, szwenk w kamerze był luźny, więc operator użył miotły, aby go ustabilizować... W akwarium pływały zdechłe ryby... A tu nagle otworzyły się drzwi, wszedł rektor, Maria Kornatowska, Antonioni i jeszcze ktoś z włoskiej ambasady, otoczeni wianuszkami kamer. Zachęcono mnie, abym podszedł i wtedy Antonioni uściśnął mi rękę, życząc powodzenia. To jest niesamowite, że w życiu takie rzeczy się zdarzają!

Po latach, kiedy Antonioni zmarł, napisałem do "Rzeczpospolitej" jego nekrolog. A kiedy niedawno byłem we Włoszech, spotkał mnie niesłychany zaszczyt, ponieważ zostałem jurorem festiwalu włoskich filmów dokumentalnych i krótkometrażowych. W związku z tym festiwalem przygotowano galerię portretów włoskich twórców, którzy byli przewodniczącymi jury. Byłem jedynym nie-Włochem i mój portret powieszono obok... Antonioniego. Moment metafizyczny... Potem miałem wykłady na Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie (wł. Accademia Nazionale di San Luca), otrzymałem pięknie wydany album, zawierający znakomite, bardzo wnikliwe analizy wszystkich filmów Antonioniego.

BLC: Wróćmy jednak do szkoły filmowej. Kto, poza Wojciechem Hasem, wywarł na

Pana wpływ?

LM: Największy wpływ miał na mnie Has i Królikiewicz. Wykłady Grzegorza Królikiewicza nie dadzą się porównać z niczym. Ten show, który urządzał i jak nas prowokował do myślenia... Do młodych durniów, którymi wówczas byliśmy, przemawiał bardzo skutecznie. Jego zajęcia przypominały amerykańskie filmy sądowe – tak to prowadził. Był zarazem oskarżycielem (naszej bezmyślności), jak też adwokatem filmów. Robił to pięknie! Jego analityczny umysł był niezrównany. Jego wykłady były dla nas wielkim przeżyciem. Z kolei Has był introwertykiem. Przypalał "Marlboro", popiół spadał na jego nylonowy golf, w którym wypalał dziury... Cedził słowa, ale w jego podejściu do kina był wielki świat. Ważną dla mnie osobą była także Maria Kornatowska, również bardzo ludzka, prywatna, a jednocześnie światowa. Ponadto Henryk Kuźniak, który był wyjątkowo dobrym pedagogiem wykładając muzykę filmową.

BLC: *Podobno był Pan także na planie filmowym u Ingmara Bergmana...*

LM: Wygrałem wówczas konkurs na scenariusz i pierwszą nagrodą było (w ramach wymiany między szkołami filmowymi) uczestnictwo w planie filmowym "Twarzą w twarz".

BLC: *Jakie wrażenie sprawiał Bergman podczas pracy nad filmem?*

LM: Kiedy rok wcześniej byłem na planie polskiego filmu pewnego znanego reżysera, co i rusz słyszałem, że kręcimy arcydzieło, mimo że był to absolutny gniot. Interesowało mnie więc, co wobec tego mówi na planie twórca prawdziwych arcydzieł. Byłem też dobrze przygotowany "z Bergmana". Pojechałem więc do Szwecji i nazajutrz po przyjeździe poszedłem na plan. Wszyscy już od rana dziarsko się uwijali, co wprowało mnie w zdumienie po uprzednich doświadczeniach, ale przede wszystkim szukałem Bergmana. Sądziłem, że pewno pojawi się na planie jak jakiś cesarz. W końcu zapytałem asystenta producenta. Ten wskazał mi palcem jakiegoś mężczyznę, który klęczał w przepoconej koszuli i przesuwiał kabel... Dopiero wtedy rozpoznałem Bergmana.

Miał taki system, że kiedy rozmawiał z aktorami, to zawsze ustawiał się w pozycji niższej niż oni. Poza tym męczył się nad ujęciami jak jakiś, nie przymierzając,

debiutant. To była fizyczna walka człowieka z przestrzenią i ze swoim własnym wnętrzem. Mimo że był protestantem, człowiekiem niezwykle precyzyjnym, to jednak dopuszczał do siebie nieznane.

Rozmawiałem z nim potem kilka razy, zawsze bardzo krótko, bo nie był wylewnym człowiekiem. Mówił mi, że w kinie nic nie wiadomo na pewno. Za każdym razem jest tak, jakby się zaczynało od nowa. Przy tego typu podejściu – rzeczywiście tak jest. Gdy obserwuję młodych reżyserów, to są pełni buty. Bergman zaś był obrazem pokory.

BLC: *Czy Pański debiut – "Rycerz" nie jest czasem z ducha Bergmana, z jego "Siódmej pieczęci"?*

LM: Pewnie jest. Ale także z Tarkowskiego... Te filmy mnie fascynowały!

BLC: *Jak to właściwie jest z tymi inspiracjami? Czy na początku jest w Pański wypadku obraz, np. malarstwo Ucella, jak to było w przypadku "Rycerza"? Czy może impulsy płyną z innych źródeł?*

LM: Dzięki Włochom zrozumiałem, że nie można ograniczać się do jednego środka wyrazu. Różne tematy domagają się innej ekspresji. Żyjemy w czasach, w których jest się synonimem albo anonimem. Innymi słowy, albo kogoś się z czymś utożsamia, np. z kinem, tenisem, albo się nie istnieje. Dzisiejszy świat jest tak pogubiony, że żąda od człowieka jednoznacznych rozwiązań. Jeśli coś jest bardziej skomplikowane, zaczyna być podejrzane. Przykładem takiego człowieka, który zajmował się wieloma dziedzinami, jest Leonardo da Vinci. Ale wybacza mu się to ze względu na "Moneę Lisę". Nikt nie traktuje poważnie całej reszty.

W moim wypadku inspiracją jest zawsze obraz. To swego rodzaju wizja. Niektóre moje wizje obradają jak drzewo, a inne nie. Te, które emitują kolejne obrazy, stają się centralnym punktem, rodzajem osi. Z tego rodzi się potem albo teatr, albo opera, albo film, seria video artów, rzeźba... Np. scenę orki w hipermarkecie w "Onirica" ujrzałem wewnętrznym okiem, robiąc zakupy w takim miejscu.

BLC: *Czy w przypadku "Angelusa" punktem wyjścia było malarstwo Ociepki?*

LM: Zaczęło się od tego, że przeczytałem w "NaGłosie" artykuł Seweryna A.

Wisłockiego, który opisał fenomen Grupy Janowskiej. W owym czasie interesowałem się kultem proroka Eliasza Klimowicza, który założył Wierszalin, gdzie chciał zbudować raj na ziemi. O ruchu tym pisał w latach 70. prof. Włodzimierz Pawluczuk. Chciałem nawet zrobić adaptację tekstu T. Słobodzianka, ale nic z tego nie wyszło. W tym samym czasie mój św. pamięci przyjaciel Irek Siwiński zwrócił moją uwagę na historię Grupy Janowskiej, sięgającą lat 30. XX wieku. Była to założona przez Teofila Ociepkę gmina okultystyczna, której jedną z form ekspresji było malarstwo. Przeczytanie artykułu Wisłockiego natychmiast zaczęło skutkować wizjami i obrazami. Pojechałem do domu, w którym mieszkał pociotek Teofila Ociepki, który zaprowadził mnie na strych i dał harfę po malarzu.

BLC: *Po "Rycerzu" wyjechał Pan za granicę i robił tam filmy bliższe mainstreamowi, np. "Ewangelie według Harry'ego". Mimo że w Ameryce doceniono Pańską twórczość i miał Pan tam znakomite warunki, postanowił jednak wrócić. Co Pana do tego skłoniło?*

LM: Mnie dopieszczają i doceniają wszędzie, z wyjątkiem Polski i to mi się najbardziej podoba (śmiech). To mnie trzyma w formie.

<http://kulturaonline.pl/>

Dantejskie sny Lecha Majewskiego



Lech Majewski, fot. Przemek Dzienis

Korespondencja z Polski

Barbara Lekarzyk-Cisek

„Onirica” to oszałamiająca, bardzo plastyczna wizja filmowa. Poznajcie jej części składowe i przeczytajcie, co mówił o niej reżyser podczas wrocławskiej premiery.

Pięknie skomponowane kadry, nieśpieszna, kontemplacyjna narracja, nastrojowa muzyka, a także czerpanie inspiracji z własnych snów, z języka poezji i z malarstwa – oto, co wyróżnia filmy autorskie Lecha Majewskiego na tle postępującej komercji kina. Jego najnowsze dzieło – „Onirica” jest – wedle deklaracji reżysera – ostatnią częścią tryptyku, po „Ogrodzie rozkoszy ziemskich” oraz „Młynie i krzyżu”. W istocie, wszystkie je łączy wspólny temat: miłości, cierpienia i śmierci. O ile jednak dwa pierwsze zostały zainspirowane konkretnymi obrazami (Boscha i Bruegla), o tyle „Onirica” zdaje się być próbą stworzenia własnego obrazu. Obrazu utkanego ze snów, lektury Dantego, malarskich fascynacji, a także współczesnej rzeczywistości – oczywiście twórczo przetworzonej.

Podczas wrocławskiej premiery filmu (10 kwietnia w Kinie Nowe Horyzonty), Majewski poruszył wiele istotnych tematów. Mówił m.in. o wpływie „Boskiej komedii” Dantego na swój film, o języku symboli, o swoich snach i o tym, że współczesny człowiek stał się bytem wirtualnym. Fragmenty tych wypowiedzi uzupełnią moją próbę analizy filmu.

Obraz jako artystyczna wizja

U źródeł twórczości Majewskiego zawsze leży obraz – artystyczna wizja. Taka też jest pierwsza sekwencja filmu: wewnątrz kościoła, z dominującą postacią Anioła (śmierci?), który swoim skrzydłem osłania leżącą na ławie postać kobiecą. W pobliżu siedzi mężczyzna z przymkniętymi powiekami. Okazuje się, że to jego wizja, jego sen...

W „Oniryce” co prawda istnieje pewien rodzaj narracji, ale rządzi się ona regułami snu – jest (zgodnie z tytułem) oniryczna. Obrazy płynnie przechodzą z jednego w drugi, jawia miesza się ze swym przeciwieństwem. Realnością są przeżycia bohatera, który straciwszy w wypadku ukochaną, nie potrafi pogodzić się z ową utratą i błąka się w rzeczywistym świecie, co i rusz się z niego wyłączając i zapadając w marzenia senne. Zresztą całą tę rzeczywistość należałoby również wziąć w cudzysłów, czymże bowiem jest wewnątrz hipermarketu o przewrotnej nazwie „Real” albo ekran telewizora, z którego płyną informacje o powodziach, kataklizmach, o katastrofie smoleńskiej..?

– Jeżeli się porusza rzeczywistość i wizualnie nią potrząsa, to ona podsuwa nam różnego rodzaju rzeczy, o których myśmy nawet nie pomyśleli. W 2008 roku napisałem w scenariuszu, że dziewczyna bierze ślub z brzozą. A ile teraz to ma konotacji... Nagle ta wizja, poprzez to, co się wydarzyło w Smoleńsku, nabiera dodatkowego znaczenia.

Kiedyś widziałem na cmentarzu kobietę, która trzymała malutkie dziecko i kiedy zadzwonił telefon, położyła je na grobie. Zobaczyłem w tej scenie początek i koniec – taki niebywały skrót. Trochę to potem zmieniłem w „Angelusie”, gdzie jest czaszka i dziecko, a z kolei w „Ogrodzie rozkoszy ziemskich” kobieta zdejmuje pantofel i dotyka bosą stopą kamienia na cmentarzu w Wenecji.

Od starożytności istnieją wierzenia, że tylko kamień jest w stanie przechować nasze tchnienie. W prymitywnych kulturach umarłemu daje się właśnie kamień. W kulturze żydowskiej kładzie się je na grobach. To oksymoron – ale kamień jest „przechowalnią” dusz. Ulegam pewnym swoim wizjom, ale nie wszystkie do końca rozumiem. Np. te woły w supermarkecie. Aby zrealizować tę wizję, poświęciłem półtora roku, a scena trwa 29 sekund...



Kadr z filmu Lecha Majewskiego „Onirica”

Paralele z „Boską komedią” Dantego

Ważnym elementem filmowej narracji są także fragmenty „Boskiej komedii” Dantego. Nie chodzi jednak tylko o paralele związane z utratą ukochanej. W swoim wcześniejszym poemacie „Vita nuova” („Nowe życie”) włoski poeta opisał własne przeżycia związane ze śmiercią ukochanej Beatrice. Jemu również ukojenie przyniósł sen, w którym zmarła mu się ukazała. Odtąd będzie podążał za nią, sublimując swoje uczucie. Beatrice pojawia się także w „Boskiej komedii” – jako przewodniczka Dantego, prowadząca go do Raju. Zanim to jednak nastąpi, poeta doświadczy kryzysu duchowego i załamania moralnego. Będzie musiał przejść Piekło i Czyściec – poznać grzech i karę, pokutę i nadzieję. Zobaczy nie tylko ukochaną, ale także zagrożoną katastrofami ludzkość. Tę główną myśl odnajdziemy także w filmie

Majewskiego.

- „Boską komedię” Dantego znałem od bardzo dawna, ale nie jest to tekst, który można łatwo przyswoić. Potraktowałem poetę bardziej jako malarza, gdyż stwarza on niesamowity gąszcz obrazów, wśród których idąc człowiek może się dotkliwie poranić. Potem te obrazy ulegały przetworzeniu, pojawiały się w moich snach, pojawiały się też w rzeczywistości. W sposób pełny objawił się Dante w rzeczywistości roku 2010. Cały film nie opiera się na Dantem, ale jest peryfrazą i parafrazą „Boskiej komedii”.

Otóż ten 2010 rok rozpoczął się od tego, że zobaczyłem takie zdjęcie: pod Częstochową – bezkresne białe pole, z szeregiem pokrzywionych słupów, które skrzywił i pogiął szron i lód. Wyglądają jak szereg kostuch z kosami, które idą zebrać żniwo 2010 roku. Taka scen znajduje się na początku mojego filmu.

W wyniku zmian pogody Polskę zalało wówczas pięć dużych powodzi. To były prawdziwe tragedie dla wielu ludzi, którzy potem mieszkali na zalanych terenach, bo musieli tam wrócić, gdyż nie stać ich było na przeprowadzenie się gdzie indziej.

Kiedy robiłem kwerendę we wszystkich stacjach telewizyjnych, znalazłem materiały nakręcone przez operatorów, które były tak przerażające, że nigdy ich nawet nie wyemitowano. Płynące trumny, a obok nich napęczniałe zwłoki krów, które były pożerane przez szczury... Były to prawdziwe sceny dantejskie. Potem nastąpiła tragedia w Smoleńsku – przerażające wydarzenie, które do tej pory budzi zażarte spory.



Kadr z filmu Lecha Majewskiego „Onirica”

Pytania o istotę cierpienia i śmierci

Początkowo bohater zupełnie nie radzi sobie z cierpieniem. Poszukuje jego sensu w wierze, ale ta okazuje się zawodna. Próbuje też racjonalizować swój stan, a właściwie czyni to jego ciotka, u której pojawia się od czasu do czasu. Przytacza ona słowa perskiego poety, mówiące o tym, że z ciemności rodzi się światło. Próbuje także przywoływać rozważania filozofów, szczególnie Seneki i Heideggera, wedle których śmierci de facto nie ma. Nie daje to jednak nieszczęśnikowi żadnej pociechy.

Tej doznaje przede wszystkim w wizjach sennych, które stają się jego alternatywnym życiem. Porzuca stałe zajęcie (jest profesorem uniwersyteckim, specjalistą zajmującym się znaczeniem symboli), podejmuje pracę w hipermarkecie, ale z miernym skutkiem. Wędrowki odbywa nie tylko w snach, ale również w rzeczywistości, jednak granice między nimi są tak nieostre, że czasami nie wiemy – sen to czy jawa... „Boskiej komedii” słucha – jak współczesny młody człowiek – w wersji audio (w oryginale). Ostatecznie odnajduje swoją Beatrycę i w boskiej ekstazie unoszą się ku niebu. Po czym razem, jak Orfeusz i Eurydyka, płyną łodzią w nieznanym kierunku.

- Sartre powiedział, że nadrealizm jest realizmem totalnym. Ja w to też głęboko wierzę, ponieważ mój stosunek do opisywania człowieka jest przeciwny do typowego kinowego opisu, który polega na oddawaniu jego ruchu i jego słów, czyli behawioryzmu w czystej postaci. Ja nie wierzę w takie kino. Mnie natomiast wydaje się, że każdy z nas złożony jest z wielu warstw, tyle w nas funkcjonuje dziwnych obrazów, sekwencji, które nigdy nie wychodzą na światło dzienne. Człowiek jest uwikłany w pewną grę obrazów - bardzo skomplikowaną rzeczywistość wewnętrzną. W człowieku pozornie unieruchomionym jest czasem więcej akcji niż w bohaterze znajdującym się w pędzącym samochodzie.

Uroda obrazu

Pięknie skomponowane kadry, nieśpieszna, kontemplacyjna narracja, którą niesie także nastrojowa muzyka, autorstwa Majewskiego (do spółki z Józefem Skrzekiem) - stanowią znak rozpoznawczy tego poety i malarza kina. Czerpanie inspiracji z własnych snów, o czym wspominał nieco żartobliwie podczas spotkania z publicznością w Kinie Nowe Horyzonty, inspiracje, malarskie i literackie, wpływ Junga - wszystko to sprawia, że kino Majewskiego jest oryginalne i niepowtarzalne. Ale jednocześnie bliskie człowiekowi jak żadne inne. Żyjąc wśród ekranów, w sztucznym hiperrzeczywistym świecie (jakby powiedział Baudrillard), często zatracamy kontakt z sobą samym, bagatelizując sny i marzenia na jawie. Film zdaje się nam przypominać o tym, jak wiele tracimy. „Onirica” przemawia do widza owym „zapomnianym językiem” symboli i obrazów sennych.

- Lubię czytać symbole - to moja pasja. Uważam, że jest to taki „zapomniany język”, który każdy z nas powinien znać, ponieważ wierzę głęboko, że nie jesteśmy osamotnieni w rzeczywistości. Ona się z nami komunikuje, ale czyni to specyficznym językiem, którego nie potrafimy odczytywać. Zauważam u ludzi taką formę „nieistnienia”, wirtualnego bytu, to znaczy bytu ograniczonego do odbierania świata przez szkło: szyby samochodu, komputera, telewizora, gry...

Wychodzę z założenia, że widz jest współtwórcą filmu. Poprzez jego odbiór filmów sam bardzo wiele się dowiaduję. Choć są też obszary w filmie, o których nie wiem i nie chcę wiedzieć. Dużo rozmawiam w ten sposób ze zmarłymi. Większość moich filmów: „Wojaczek”, „Angelus” to jest swoiste przywoływanie duchów.



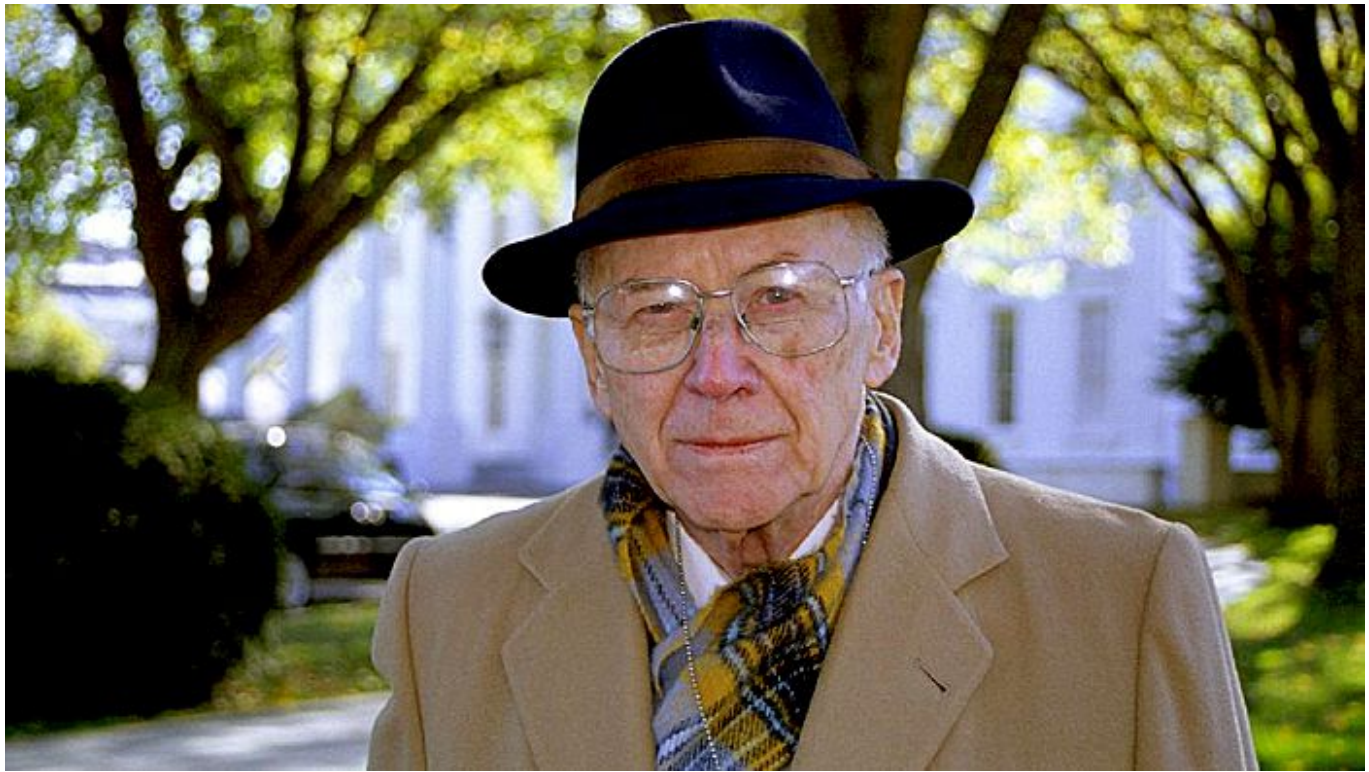
Kadr z filmu Lecha Majewskiego „Onirica”



Kadr z filmu Lecha Majewskiego „Onirica”

<http://kulturaonline.pl/>

Szcześnie szło ze mną pod rękę



Jan Nowak-Jeziorański, fot. TVP

Barbara Gruszka-Zych - *Pan nigdy nie uważał się za bohatera, ale dla wielu nim Pan jest – słynny Kurier z Warszawy. Dla najmłodszych, znających historię, bardziej interesujący od Jamesa Bonda. A kto dla Pana jest bohaterem?*

Jan Nowak-Jeziorański - Bohaterem jest człowiek gotów całkowicie i bezinteresownie poświęcić samego siebie innemu, albo innemu. Zdolny wystawić na ryzyko wszystko, co posiada, nie wyłączając własnego życia, w służbie jakiejś idei altruistycznej. Byłem w czasie wojny świadkiem takiego bezgranicznego bohaterstwa tylu ludzi, że bardzo mi trudno wymienić jakiegoś jednego bohatera. Szkoda, że to bohaterstwo przeważnie zostało zapomniane.

BGZ - *Czy w dzieciństwie miał Pan swojego bohatera z ulubionych lektur, opowiadań mamy?*

JNJ - W latach dzieciństwa taką postacią był Adaś Kalinowski, bohater „Dzieci Lwowa”, książeczki, nie pamiętam autora, którą przeczytałem jako dziecko. Adaś jako trzynastoletni chłopiec zginął w obronie Lwowa.

(...)

BGZ - *Kiedys w rozmowie powiedział mi Pan, że tak zwani wielcy przy bliższym poznaniu wiele tracą. Co więc decyduje, jakie cechy, czy zachowanie, że ktoś jest wybitny, zostaje pozytywnie zapisany w historii?*

JNJ - Nawet najwięksi spośród wielkich są ludźmi i mają swoje ludzkie słabości. Z odległości widzi się tylko ich wielkie dokonania, zalety umysłu i charakteru, natomiast przy bliższym zetknięciu, zwłaszcza na co dzień, odkrywa się wady i niedostatki. To miałem na myśli, rozmawiając z panią. Kryteria wielkości są bardzo różne. Kazimierz Wielki stał się wielki przez swoje dokonania. Napoleon Wielki dzięki geniuszowi wojskowemu. Tak samo Aleksander Macedoński. Abraham Lincoln jest uważany za największego prezydenta amerykańskiego nie tylko dlatego, że ocalił jedność Stanów Zjednoczonych, ale dlatego, że stał się apostołem demokracji w najlepszym tego słowa znaczeniu.

BGZ - *Znał Pan wielu sławnych ludzi. Przygotowałam listę postaci. Czy mógłby Pan scharakteryzować krótko poszczególne osoby: Eugeniusz Kwiatkowski, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, gen. Kazimierz Sosnkowski, Edward Raczyński, Winston Churchill, kard Stefan Wyszyński, Jan Paweł II, Lech Wałęsa.*

JNJ - Z tych wszystkich nazwisk, które Pani wymieniła tylko trzech ludzi miało cechy wielkości: Eugeniusz Kwiatkowski, Prymas Wyszyński, Jan Paweł II. Z obcych dodałbym jeszcze Winstona Churchilla, skądinąd postać niesympatyczną. Inni mieli wielkie zasługi, ale to nie jest to samo co wielkość.

BGZ - *Jakie to uczucie kiedy można „pokierować historią”? Pan to czynił między innymi jako dyrektor radia „Wolna Europa”.*

JNJ - Nie przyznaję się do kierowania historią. Mam jednak poczucie, że zespół polski „Wolnej Europy” wywarł poważny i pozytywny wpływ na historię. W obecnym, tym ostatnim rozdziale mojego życia, usiłuję wpływać na politykę Stanów Zjednoczonych. Nie chcę tego wpływu wyolbrzymiać, ale wydaje mi się, że w jakimś stopniu przyczyniłem się do rozciągnięcia parasola NATO nad Polską. Mam nadzieję, że w najbliższych dniach do tego dojdzie. To wewnętrzne poczucie daje mi olbrzymią satysfakcję.

BGZ - *Wielokrotnie wyrażał Pan podziw wobec mieszkańców stolicy, którzy z zapalem odbudowali miasto w sytuacji, gdy została zaprzepaszczona idea wolnej Polski. Pan również przez lata pracował dla kraju znajdującego się w beznadziejnej sytuacji. Czy miewał Pan chwile zwątpienia?*

JNJ - Miałem zawsze skłonność właściwą naszemu, polskiemu charakterowi narodowemu – trzymać się kurczowo nadziei, nawet w sytuacjach, które wydają się całkowicie beznadziejne. Nie traciłem jej nawet w najgorszych czasach, po Jałcie, w okresie stalinowskiej nocy. Ale raz jeden ogarnęła mnie skrajna rozpacz. Było to 18 albo może 19 stycznia 1945 roku. Przeczytałem w tym dniu doniesienie brytyjskiego korespondenta, który wkroczył do Warszawy za wojskami sowieckimi. Pisał, że miasto nie istnieje, że zamieniło się w całkowicie bezludne morze ruin i zgliszcz. Twierdził, że już w tym miejscu żadne miasto nie powstanie, bo samo usunięcie ruin i zwałów gruzu przekracza ludzkie możliwości. W dwa dni później ten sam korespondent donosił, że tak zwany Rząd Lubelski, postanowił przenieść stolicę Polski do Łodzi. Otóż przez tę jedną chwilę wydawało mi się, że nie będzie do czego wracać. I to był mój moment zwątpienia.



Barbara Gruszka-Zych i Jan Nowak-Jeziorański, fot. arch.BGZ.

BGZ - *Minęły czasy kiedy bohaterstwo wymagało ofiary krwi. Jaki jest bohater naszych czasów?*

JNJ - Pozytywnym bohaterem na dziś powinien być Eugeniusz Kwiatkowski, który z niezwykłym talentem i wyobraźnią podnosił Polskę z niżu cywilizacyjnego, do którego zepchnęły ją rozbiory. Budowniczymi Polski są dziś ci, którzy z niebywałym dynamizmem rozwijają inicjatywy i przedsiębiorczość. To oni tworzą Polskę.

BGZ - *Mój 12-letni syn mówi, że Powstanie Warszawskie było niepotrzebne, bo ludzie się zabijali. To nie przeszkadza mu uważać za wielkiego bohatera policjanta z filmów akcji. Nawet sam staje się bohaterem, zabijając postacie podczas gier komputerowych. Tamo zabijanie niosło śmierć, to jego „zabawowe”, daje szansę na wątpliwe bohaterstwo. Skąd się wzięło takie pomieszanie?*

JNJ - Osąd Powstania Warszawskiego jest pewną sztancą, wbijaną ludziom w głowę przez blisko pół wieku. Problem Powstania jest złożony i spór nad Powstaniem

będzie się toczyć chyba przez następne stulecie. Natomiast zafascynowanie gwałtem i zabijaniem to przede wszystkim wpływ telewizji. Ściślej mówiąc tych filmów telewizyjnych, które szczególnie przyciągają dzieci i młodzież.

BGZ - *Ostatnio wiele się mówiło o płk. Kuklińskim. Jedni uważają go za bohatera narodowego, drudzy nie, gdyż kłamał, mówił swoim nieprawdę. Jakie jest Pana zdanie?*

JNJ - Nazywanie go zdrajcą jest nonsensem. Każda konspiracja polega na wprowadzaniu w błąd wroga. To wprowadzanie w błąd staje się koniecznością w walce z wrogiem zdecydowanie potężniejszym. Ocena Kuklińskiego zależy od tego, kogo uznamy za wroga - czy Stany Zjednoczone, czy Związek Sowiecki? Znając dokumenty i relacje takich ludzi jak Zbigniew Brzeziński nie ma wątpliwości, że Kukliński współpracował z wywiadem amerykańskim dla Polski a nie przeciwko niej. Przekazywał informacje po to, żeby ją ocalić, a nie po to, by ściągnąć na nią jakieś niebezpieczeństwo. Józef Piłsudski, walcząc o niepodległość Polski współpracował z wywiadem austriackim przeciwko Rosji. Żołnierze AK współpracowali z wywiadem angielskim przeciwko Niemcom. Ja osobiście z żadnym wywiadem nie współpracowałem, ale jestem dumny, że prznosiłem w swojej poczcie raporty polskiego wywiadu, wspierającego wysiłek sprzymierzonych przeciwko Niemcom. Tylko ci ludzie, którzy w obronie swoich życiorysów, wciąż powtarzają, że Związek Sowiecki był sojusznikiem, a Polska była suwerenna, albo miała, jak to mówią, ograniczoną suwerenność, uważają Kuklińskiego za zdrajcę. Ale jedno i drugie jest fałszem. Polska nie była krajem suwerennym. Związek Sowiecki był zagrożeniem i wrogiem.

(...)

BGZ - *Proszę opowiedzieć jaki był Pana powrót do Ojczyzny po latach nieobecności? Co wywołało Pana największą radość od odzyskania wolności w 1989 roku?*

JNJ - Oczywiście powrót do Polski był najszcześniejszym dniem mojego życia. Nie opiszę w słowach tego nastroju, jaki mnie ogarnął, kiedy po czterdziestu pięciu latach samolot dotknął polskiej ziemi na Okęcie. Zobaczyłem ten napis na budynku dworca lotniczego - Warszawa. I te tłumy, które przyszły mnie powitać. Może najszcześniejszym momentem było to, co się stało następnego ranka, kiedy pierwszy

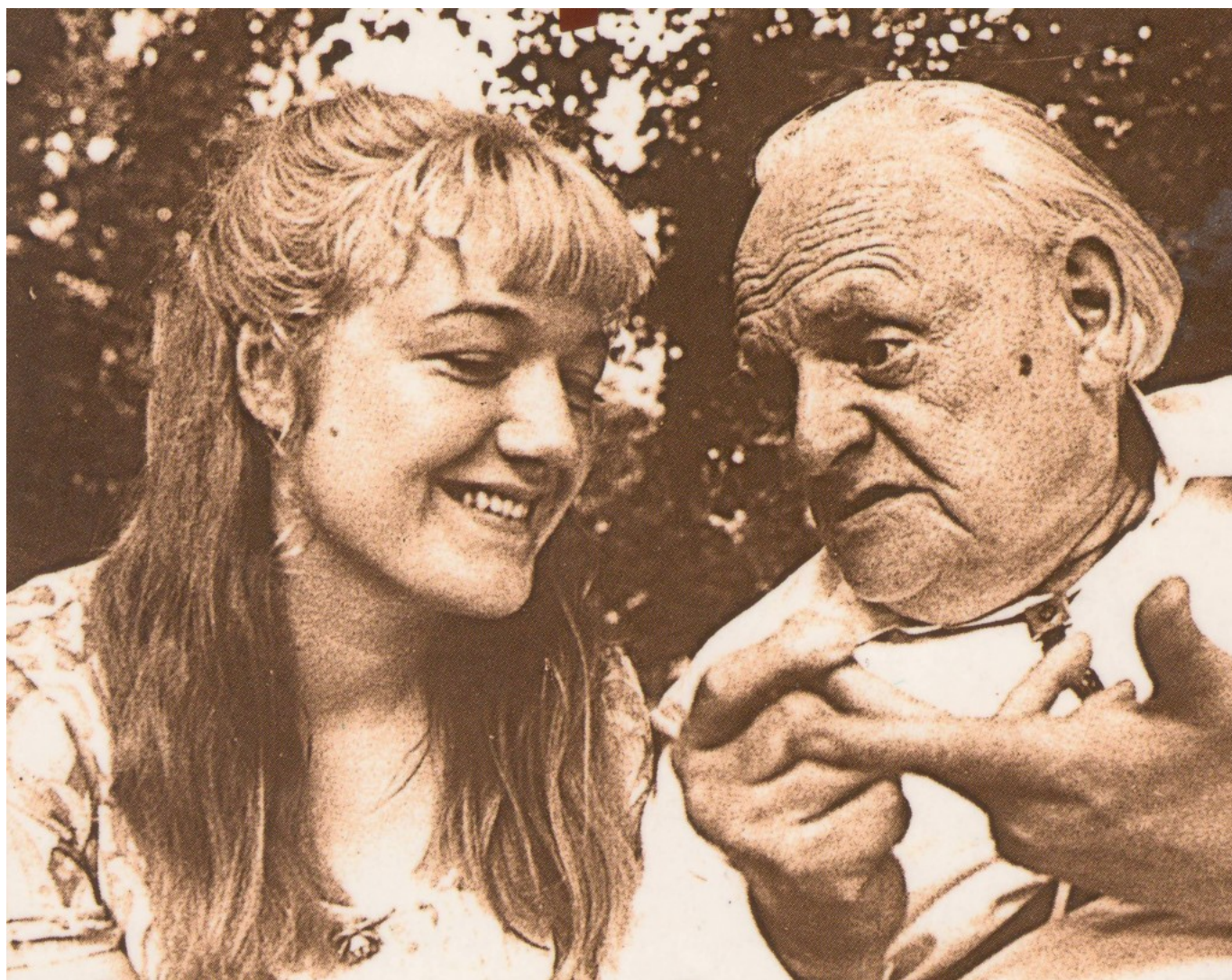
taksówkarz, który wioził mnie do miasta, odmówił przyjęcia zapłaty za kurs. (...)

BGZ - *Gdyby dziś zaczynał Pan swoją działalność, czym by się Pan zajął?*

JNJ - Szczęście szło ze mną pod rękę przez osiemdziesiąt cztery lata, do tej chwili. Nic nie mogło ułożyć się lepiej. Oczywiście, gdybym zaczynał dzisiaj życie na nowo, z doświadczeniem, jakie zebrałem w ciągu całego życia, to na pewno uniknąłbym wszystkich błędów, które wynikały z jego braku.

Rozmowa przeprowadzona w 1998 r.

Ziele nie szarzeje



Oleńka Ziółkowska i Melchior Wańkowicz. Oleńka zastąpiła mu utracone córki.

Barbara Wachowicz

„Ziemia polska jest nasiąknięta zapachami, dźwiękami, błyskami splecionymi przez dzieje, których nikt nie wypleni... Poszukuję tematów bohaterskich o ludziach, którzy trwali i przetrwali”. Owe słowa ostatniego co tak pióro wodził – Melchiora Wańkowicza można także uczynić mottem twórczości Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, świetnej asystentki i sekretarki autora „Ziela na kraterze”, którą wszyscy przyjaciele do grona których mam szczęście się zaliczać nazywają serdecznie Oleńką.

Oleńka. Serdeczność i ciepło, a zarazem żelazna dyscyplina, nieprawdopodobna pracowitość i precyzja działań. Blask, urok i czar, a zarazem bogactwo tematów,

poszukiwań, odkryć. Laureatka wielu prestiżowych nagród, wśród których jest „Złoty Exilibris” Książnicy Pomorskiej, Medal Ignacego Jana Paderewskiego przyznany przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, Arts Award in the Literature Stanu Delaware... Autorka kilkudziesięciu rewelacyjnych książek poświęconych sławnym Polakom na emigracji, bohaterom Powstania Warszawskiego, a nade wszystko Melchiorowi Wańkowiczowi. Stypendystka wielu reprezentacyjnych fundacji – kanadyjskich, brytyjskich, amerykańskich. Doktor Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka współpracująca z czołowymi pismami polskimi, kanadyjskimi, amerykańskimi.

A była skromną studentką wydziału polonistyki Uniwersytetu Łódzkiego.

„Świadomość istnienia Boga”

W jakim wyrosła domu? Ojciec – Henryk Ziółkowski herbu Korczak, Wielkopolek, żołnierz 31. Pułku Strzelców Kaniowskich i działacz Obozu Wielkiej Polski, wierny miłośnik historii i literatury. Matka – Antonina z domu Laśkiewiczówna marzyła (jak napisze Oleńka w swojej autobiografii „Ulica Żółwiego Strumienia”) – żeby mieć córkę „która by się dobrze uczyła, miała ciekawy zawód, interesujące życie i aby poznała świat”. Wszystkie te marzenia matczyne miały się spełnić. Oleńka podaje swoją listę wdzięczności. Co zawdzięcza? „Mamie – ducha pobożności i dobroczynności. Ojcu (którego pamięci zadedykowała „Drugą bitwę o Monte Cassino”) – umiłowanie książek i wagę prawości człowieka. Braciom – poczucie bezpieczeństwa i to że zawsze może na nich liczyć. Synowi Tomkowi – tkliwość i odpowiedzialność. Melchiorowi Wańkowiczowi – zainteresowanie światem i ważność pracy”.

O swych latach dziecięcych Oleńka pisze: „Całe wspomnienie dzieciństwa to kościół. Już jako trzyletniej dziewczynce Mama wplatała mi we włosy białą kokardę, ubierała w białą sukienkę z falbankami, zawieszała koszyk z kwiatkami”. I tak mała dziewczyneczka szła w procesji Bożego Ciała. Dom żył obyczajem staropolskim, szlacheckim rytmem świąt. Boże Narodzenie to był opłatek, uroczysta wigilia, pasterka w Łódzkim kościele Dobrego Pasterza. „Małej dziewczynce wydawało się, że Pan Jezus urodził się gdzieś w Polsce, w małej stajence na wsi” – wspomina Oleńka. Kiedy zwiedziła po raz pierwszy Betlejem opowiada: „Byłam bardzo przejęta

odwiedzając Bazylikę Narodzenia prowadzącą do Groty Narodzenia. Wzruszyłam się znajdując polskie akcenty w Palestynie, stacje Drogi Krzyżowej w Jerozolimie, pomnik z płaskorzeźbami Matki Boskiej Częstochowskiej w Tyberiadzie na dziedzińcu kościoła Świętego Piotra Rybaka wzniesionym w 1945 roku przez żołnierzy 2. Korpusu, wizerunek polskiej Madonny w otoczeniu Mieszka I i Dąbrowki w sanktuarium Zwiastowania w Nazarecie”. W dniu święta Trzech Króli matka Oleńki zakreślała kredą na drzwiach inicjały imion Kacper, Melchior i Baltazar, co miało uchronić dom od nieszczęścia.

Wielkanoc rozzwoniła pieśnią Alleluja „obwieszczała światu cudowną nowinę o powstaniu z martwych Jezusa Chrystusa. Wydarzenie to jest esencją wiary wszystkich chrześcijan i leży ono u podstaw istnienia naszej religii. Radosny śpiew «Te Deum» – «Ciebie Boże wychwalamy». To ulubiona pieśń Oleńki do dziś. Jako dziewczynka wędrowała w pielgrzymce do Częstochowy. „Świadomość istnienia Boga jest silna we mnie i może to jest rodzajem łaski? Wiara, religia, obrządki kościelne – z tym rosłam”.

Rosła także na literaturze ojczystej. „Ojciec mawiał, że książki są czymś wielkim. Są życiem, sercem i centrum przemijającego czasu”. Przeżyła z braćmi prawdziwą „epokę Henryka Sienkiewicza” – „Z pałającymi policzkami i wstrzymanym oddechem całymi dniami czytałam przygody Skrzetuskiego, Kmicica, Wołodyjowskiego. Moje koleżanki kochały się w chłopcach, ja kochałam się w bohaterach literackich”. Jej starszy brat otrzymał imiona Henryk Andrzej na cześć autora „Trylogii” i bohatera „Potopu”. Jej młodszy brat Krzysztof został ochrzczony na cześć Kolumba. Nie wiedzieli ilu odkryć w Ameryce dokona ich utalentowana siostra.



Melchior Wańkowicz przy pracy, Warszawa, 1963 r.. fot. PAP/CAF-Stanisław Dąbrowiecki

Najbliżej Wańkowicza

Wieczory u Pana Melchiora Wańkowicza na Puławskiej. Zapraszał nas – ku wielkiej radości – na stole zawsze stały przygotowane talerzyki dla ewentualnych gości. Był samotny. Utracił obie córki. Krysia zginęła w Powstaniu, Marta została w Ameryce i była jego wielkim rozczarowaniem. Odeszła z tego świata żona – legendarny, ukochany Królik.

I oto promienny kontrast – dom na Studenckiej, odbłask Domeczku z „Ziela na kraterze” – barwy, uśmiech, Oleńka. To ona opromieniła swą osobowością, opieką i sercem ostatnie lata autora „Ziela na kraterze”. Zgłosiła się do najpopularniejszego podówczas pisarza polskiego z drżeniem serca podjąwszy jako temat pracy magisterskiej jego twórczość. Pan Melchior przyjął studenteczkę z dużym dystansem. Zaznaczył, że ma 45 minut czasu i krytycznie zaczął sondować jej wiedzę. Oleńka przezornie miała ze sobą eseje jakie już poświęciła twórczości Wańkowicza. Z 45 minut zrobiły się godziny i tak to się zaczęło...

W swej pierwszej książce „Blisko Wańkowicza”, która momentalnie podbiła

czytelników, Oleńka opowiada o dniach przeżytych z Melchiorzem Wańkowiczem wśród pachnących żywicą lasów nad Liwcem, w domu na Studenckiej, który pisarz zdołał zbudować na ostatnie lata swego życia. Odbywały się tam spotkania ze starymi przyjaciółmi, wyprawy na kiermasze łączące, jak wspomni Oleńka, „wielką radość z wielkim utrudzeniem”. Zakres prac młodziutkiej magistrantki był olbrzymi – żmudne zbieranie materiałów, obowiązek adiustacji, nagrywania, przepisywania, porządkowania biblioteki, organizowania archiwum, czuwania nad obfitą korespondencją. W obu Wańkowiczowskich książkach, bo obok „Blisko Wańkowicza” pojawi się potężny tom „Na tropach Wańkowicza po latach”, są wedle autorki „próby poszukiwania prawdy o Wańkowiczu jako pisarzu i jako człowieku”. To znakomita, wnikliwa charakterystyka sławnego pisarza, u boku którego życie było intensywne i różnobarwne. Sędziwy autor „Strzępów epopei” opowiadał Oleńce o jego trudnościach i bólach, i jak je przewyciężał. „Chciał pokazać, że życie nie jest szare ani różowe, że jest często takie, jakie mu się samemu kolor i sens nada”. Życie w aurze Wańkowicza było pełne kolorów. Żmudny trud Oleńki, jaki włożyła w ostatnią książkę mistrza „Karafka La Fontaine’a” został sownie nagrodzony – Wańkowicz uroczyście zadedykował tę niezwykłą rozprawę między innymi na temat urody języka polskiego – „Mojej sekretarce magister Aleksandrze Ziółkowskiej”.

Pani magister w znakomitym rozdziale „Na końcu języka” analizuje „Karafkę” ów fascynujący „autokomentarz na temat własnej metody twórczej i warsztatu pisarskiego”. Wspaniałe bogactwo Wańkowiczowskiego słowotwórstwa przywołuje Oleńka cytując jego „inwokację do języka”. Pisze Wańkowicz: „Myślę o nim jak w najcięższych chwilach ten niezauważalny, bo nieodłączny towarzysz podbiega z rozstrzygającą pomocą: słowem, tak siedzącym w celu, że wzruszenie wpływa na jego soczystość, słowem – patosem, że nagle staje się cisza, słowem – komikiem, który rozrzedził patos, (...) słowem z lamusa wydobytym jak zardzewiały brzeszczot, słowem – wspomnieniem pachnącym saszetkami z heliotropu”.

Jest nieskończenie wiele motywów Wańkowiczowskich analizowanych z pietyzmem przez Oleńkę. Rewelacją stały się jej odkrycia dokonane w Instytucie Pamięci Narodowej – donosy agentów Urzędu Bezpieczeństwa tropiących dosłownie każdy krok sławnego pisarza, relacja na temat procesu jaki wytoczono autorowi „Monte Cassino” w roku 1964 z artykułu „dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa”. Akt oskarżenia zarzucał

Wańkowiczowi, że przemycił za granicę maszynopis zawierający „fałszywe informacje oczerniające Polskę Ludową”. Po latach, kiedy w roku 1990 Sąd Najwyższy w procesie rehabilitacyjnym wydał wyrok uniewinniający, Oleńka dotarła do prokuratora, który brał udział w procesie Wańkowicza i przeprowadziła z nim pasjonujący wywiad. Ona także przytoczyła przykłady jak dalece pisarz hojnie wspierał działania polskiej opozycji politycznej. Oleńce zawdzięczamy także bezcenne dokumenty czym dla Polaków z Warmii i Mazur stała się książka „Na tropach Smętka”. Przywołała dedykację więźnia łagru, który napisał do Wańkowicza, że jeden z towarzyszy jego niedoli „wykazał bezprzykładowy hart ducha i szlachetność serca, dzieląc się ze mną pajdą razowego, na wagę złota cenionego chleba, pod warunkiem, iż po powrocie do Kraju ofiaruję mu pańską książkę «Na tropach Smętka»”. Córka jednego z bohaterów „Smętka” napisała Wańkowiczowi: „Kiedy Niemcy wyrzucili nas matka wzięła ze sobą tylko tę książkę. Umiałam ją niemal na pamięć. Ileż Panu zawdzięczam w tych latach nocy i pogardy. Ile siły i miłości Polski czerpałam z tej książki!”.

Na wieczorze Oleńki Ziółkowskiej-Boehm w warszawskiej księgarni podczas jej ostatniego pobytu w Polsce powiedziałam, że koniecznie powinna napisać jeszcze książkę o listach do Wańkowicza. (Pisarz w testamencie zostawił Oleńce całe swoje archiwum). W książce o nim cytuje niektóre z tych niezwykłych cimeliów poczynając od antologii nieprawdopodobnych adresów: „Melchior Wańkowicz. Warszawa” z dopiskami na kopertach: „(resztę powinien znać każdy warszawski listonosz)”, „Każde dziecko wskaże”, „Polski Pisarz Narodowy”, „Wielmożny Pan Melchior Wańkowicz – potężny utalentowany pisarz, myślący, mądry, zacny, Polak i człowiek!”.

Zacytowała Oleńka także wiersz, który ucieszył adresata:

Mistrzu Niepowtarzalny, Wirtuozie pióra,

Pejzażysto barw, światłocieni słów,

Kronikarzu doli człowieka,

Uśmiechów, radości i łez.

Nad Tobą czas się nie zamknie,

Pióro nie ostygnie,

Karafka nie wyschnie,

Ziele nie zszarzeje.

To wielka zasługa Oleńki, że barwy „Ziela” nie szarzeją. Dzięki jej nieustrudzonym wysiłkom ukazała się korespondencja Melchiora Wańkowicza z żoną. Oleńka napisała to, że Wańkowicz „kochał kobiety jak kwiaty”. Cytuje też słowa profesora Tatarkiewicza z rozprawy „O szczęściu”, iż „szczęście mężczyzny polega na właściwej kobiecie”. Pani Zofia Wańkowiczowa, jako młoda matka, pisze: „W listach Melka jest głęboka miłość do nas wszystkich trzech. Jest prawda i prawość. Wzruszająca czułość, troskliwość i delikatność. Strzeże w nich godności naszego życia”. My, wierni czytelnicy „Ziela na kraterze”, niezłomnie w tę miłość wierzymy.

Finałowym akordem dzieł Oleńki poświęconych Wańkowiczowi jest jej świetna książka, która ukazała się po angielsku w Ameryce. Udało jej się uchwycić wszystkie cechy wspaniałej osobowości pisarza, który mówił o sobie: „Uprawiam pisarskie zielarstwo. Zbieram żywokost, rumianek, chodzę o świcie po rosie, jeszcze przy księżycu. To moje farby, kolory, zapachy. To zew krwi, pożywienia, tradycji...”.

Modlitwy Oleńki

Bohaterowie Wańkowicza otrzymali od Oleńki przedłużenie swego życia. Dowiedzieliśmy się dzięki jej książkom jaki był los Hubalczyków, takich jak Rodziewicz, Alicki, Szymański – bohaterowie rozdziału „W cieniu legendy Hubala”, z książki „Lepszy dzień nie przyszedł już”, bohaterowie bitwy o Monte Cassino, bohaterka Powstania Warszawskiego „Kaja od Radosława”, która przez 54 lata chroniła Hubalowy Krzyż Virtuti Militari. Wańkowicz opisując losy żołnierzy polskich po wojnie powiedział: „Ciężko jest żołnierzowi zamienić sztandary na szufłę, zwłaszcza obcą. Ciężko jest pisarzowi, który pisał jak sztandary łopoczą na wicherze, zejść do dławiącej w gardle szarości”. Opisując losy Hubalczyków Oleńka odnalazła wiele niezwykłych kolorów w tej szarości, do której zepchnął ich los. Jest w jej książkach cała plejada naszych rodaków, którzy zapisali najpiękniejsze karty życia w

Polsce i poza jej granicami.



Szczęśliwa trójka -
Oleńka z mężem
Normanem i synem
Tomkiem

Oleńka mieszka w Stanie Delaware ze swoim mężem Normanem Boehm (zm. w maju 2016 r., red.), kuzynem sławnej aktorki Ingrid Bergman. To bardzo szczęśliwe i udane małżeństwo. Miałam szansę obserwować Normana i wzruszać się jego opiekuńczością, tkliwością i adoracją jakie okazuje żonie. Jest także Oleńka szczęśliwą matką Tomka, który zrobił światową karierę jako wybitny fotograf i dziennikarz. Potrafi napisać na Dzień Matki: „Najukochańsza Mamo - kocham i dziękuję za wszystko”.

Oleńka ma swoją własną modlitwę: „Dzięki Ci Boże za życie, za zdrowie, za łaski, za Tomka, Rodziców, Rodzinę, Normana, dom rodzinny, za ludzi, którzy mnie kochali, którzy mi pomogli, za brak wojen i klęsk wokół mnie, za przyrodę, słońce, las, oceany, za dobre myśli, za to, że ból zapomniałam, że dane mi było kochać”...

I jest jeszcze jedna piękna modlitwa Oleńki, która zwiedziła dziesiątki krajów świata. Oto co pisze jadąc drogami Teksasu: „I przypominam sobie pola i lasy w Lipcach Reymontowskich, szum dojrzałego zboża, smak rozgrzanych jagód, jeżyn zrywanych w Radziejowicach, śpiew ptaków w Lesie Kabackim, ciszę i urok Parku Wilanowskiego, białe brzozy w Nieborowie, kształt drzew w Łazienkach, zapach bzu

i jaśminu z ogrodu mojego dzieciństwa, zapach powietrza w Tatrach po deszczu”. To jest wielka tajemnica przemożnej polskości, której wiernym ambasadorem jest Aleksandra Ziółkowska-Boehm.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem organizowali Kościuszkowski wieczór Barbary Wachowicz w Filadelfii

Miesięcznik Polskiego Związku Kobiet Katolickich – „List do Pani” ,

Nr 7/8 (236) 2015, str. 28-30.

Poza gniazdem. Wizerunki emigrantek polskich.



Polscy emigranci w USA na początku XX w., fot. Wikipedia.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *„Poza gniazdem. Wizerunki emigrantki polskiej w Kanadzie w XX wieku”, to źródłowe studium na temat kobiet emigrujących do Kanady. Dlaczego zainteresowała się Pani kobietami na emigracji, a nie np. emigracją z Polski w sensie ogólnym?*



Maria Anna Jarochowska

Maria Anna Jarochowska: Temat kobiet na emigracji jest dla mnie ciekawszy. Jak dotąd mało kto interesował się tym jak one sobie radzą w Kanadzie, jak dają sobie radę z tęsknotą, z problemami asymilacji. Poza tym, jako długoletnia emigrantka dobrze poznałam problemy emigracji do Kanady, a każdy kraj ma sobie właściwe problemy.

JSG: *W książce oprócz losów kobiet z różnych środowisk i w różnych okresach, naszkicowała Pani bogate tło socjologiczno-polityczne, które wyjaśnia szereg decyzji związanych z poczuciem przynależności do nowego społeczeństwa, czy asymilacją w nowym kraju. Jak długo powstawała tak bogata w różne informacje książka?*

MAJ: Mniej więcej 10 lat chociaż, na tematy związane z zagadnieniami ekonomicznymi, politycznymi, społecznymi, psychologii społecznej i historii Kanady czytałam już wiele lat wcześniej, podobnie jak na tematy emigracji teoretycznej i praktycznej.

JSG: *Doktorat zrobiła Pani z nauk przyrodniczych, skąd zatem wzięło się u Pani zainteresowanie Kanadą i jej mieszkańcami oraz szeroko pojętą problematyką społeczną i psychologiczną?*

MAJ: W czasie pobytu w Polsce zrobiłam magisterium z ekonomii politycznej, doktorat z nauk przyrodniczych, ze specjalizacją z geografii i dyplom z bibliotekoznawstwa. W zakresie geografii specjalizowałam się w kilku

kierunkach: statystyki w geografii i geografii kulturalnej, którą następnie już w Kanadzie rozszerzyłam o antropologię społeczną, To jednak wymagało ode mnie uzupełnień z zakresu historii Kanady, socjologii i psychologii. Gdybym się tego nie nauczyła, nie mogłabym napisać „Poza gniazdem”.

JSG: *Za książkę „Kanada. Kraj i Ludzie” otrzymała Pani w 1961 roku stypendium postdoktoranckie z Canada Council, z którego Pani nie skorzystała, gdyż za odmowę zbierania informacji za granicą, nie otrzymała Pani paszportu. Proszę powiedzieć jak znalazła się więc Pani w Kanadzie.*

MAJ: W PRL-u był zawsze bałagan. Prawdopodobnie kiedy parę lat później składałam podanie o paszport turystyczny, aby odwiedzić dalekich krewnych, w urzędzie paszportowym nie połączono mojego nazwiska z moim poprzednim podaniem o paszport. Przy płynęłam więc na paszporcie turystycznym.

JSG: *Jakie były Pani doświadczenia, po postawieniu pierwszych kroków na kanadyjskiej ziemi?*

MAJ: W Kanadzie parę lat czekało na mnie roczne stypendium, przeznaczone na poznawanie przeze mnie całego kraju. Zatem ruszyłam w drogę, pociągami i autobusami zatrzymując się po drodze w różnych uniwersytetach. W Winnipeg dostałam propozycję zatrudnienia na stanowisku wykładowcy w departamencie geografii i po zakończeniu stypendium zaczęłam tam pracować. Z powodu bardzo zimnego winnipegowskiego klimatu przeniosłam się po kilku latach do departamentu geografii do Montrealu i tam przez 29 lat, aż do przejścia na emeryturę, uczyłam statystyki w geografii, geografii rolnictwa Quebecu, Kanady i świata oraz geografii kobiet w różnych kulturach świata (kobiety Indii, Chin, Azji południowo-wschodniej, itp.) Jakies 10 lat przed przejściem na emeryturę zaczęłam formułować swoje zainteresowania emigracją. Musiałam przygotować metodę badań i ustalić osiągalną dla mnie dokumentację. Po przejściu na emeryturę przenieśliśmy się z mężem do Brytyjskiej Kolumbii, bo tutaj klimat jest łagodniejszy.

JSG: *Czy trudno było Pani, nowej emigrantce, zdobyć pozycję naukową na kanadyjskich Uniwersytetach?*

MAJ: Nie, w czasie kiedy przybyłam do Kanady polityka imigracyjna była bardzo życzliwa dla imigrantów. Oczywiście potem musiałam tak samo pracować jak każdy profesor.

JSG: *Czy pogodziła Pani kulturę starego kraju z kulturą nowej ojczyzny?*

MAJ: Tak, czuję się zintegrowana ze społeczeństwem kanadyjskim, zrozumiałam i zaakceptowałam kulturę narodową kanadyjską, czuję się członkiem społeczeństwa, w którym się znajduję, ale wyrosłam w kulturze narodowej polskiej i nadal mam ją w sobie. Tam przeżyłam wojnę i byłam członkiem społeczeństwa, na którego ciele robiono eksperymenty komunistyczne. Tego się nie zapomina. Obchodzi mnie wszystko co dotyczy Polski i Kanady, ale mój dom jest w Kanadzie.

JSG: *Czy w dobie globalizacji, Internetu, tanich telefonów można mówić o wyobcowaniu na emigracji jako o zjawisku?*

MAJ: Można, bo globalizacja, telefon i Internet nie zastąpią kontaktów osobistych z rodziną i przyjaciółmi, chociaż zmniejszają nacisk wykorzenienia, a to właśnie wykorzenienie jest przyczyną, że czujemy się obcy.

Notka na temat książki:



Do tej pory brak jest opracowań na temat polskich kobiet na emigracji w Kanadzie. Lukę tę zapełnia praca prof. Marii Anny Jarochońskiej.

Posługując się licznymi wypowiedziami emigrantek, omawia ona po kolei cztery wielkie fale emigracji polskiej w okresie od 1900 do 2000 roku na tle ówczesnej kanadyjskiej polityki imigracyjnej, warunków ekonomicznych oraz stosunku społeczeństwa tego kraju do nowo przybywających Polaków. Autorka zarysowuje kolejno postacie wybitnych emigrantek i dziedziny ich działalności.

Praca jest podzielona na trzy zasadnicze części. W pierwszej omawiane są ogólne problemy związane z emigracją. W drugiej przedstawione są trudności związane z osiadaniem emigrantek na ziemi kanadyjskiej i godzenie się z tym faktem, w dużej mierze dzięki działalności społecznej. Trzecia część poświęcona jest ogólnokanadyjskim organizacjom kobiecym, a szczególnie Federacji Polek w Kanadzie.

Uzupełnieniem publikacji jest lista kobiet wyróżnionych rozmaitymi odznaczeniami kanadyjskimi, polskimi, innych państw oraz organizacji polonijnych. Bibliografia oraz indeks ponad 300-tu nazwisk i pseudonimów ułatwiają odnalezienie źródła lub poszukiwanej osoby.

Maria Anna Jarochowska: *Poza gniazdem. Wizerunki emigrantki polskiej w Kanadzie w XX w.*, Polski Instytut Naukowy w Kanadzie - Biblioteka Polska im. Wandy Stachewicz, 2006 r.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, luty 2007.

Fortepian i pióro



Nohant

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Kiedy w połowie lat 90. zostałam polskim rzecznikiem prasowym Festiwalu Chopinowskiego w Nohant, nigdy nie przypuszczałam, jak długą i wielką przygodą będzie dla mnie spotkanie z Fryderykiem Chopinem i George Sand.

Było ciepłe lato. Całe Berry zakwitło łąkami na pagórkowatym terenie. Co jakiś czas widok przecinał strumień, a przy nim młyn, otoczony gęstwiną dzikiej winorośli pnącej się po kamiennym murze, z kołem młyńskim wtórującym do taktu spadającej wodzie. Staw lub jezioro dodawało błękitu zielono-żółto-czerwonej palecie krajobrazu. Maleńkie domki, z malowniczymi okiennicami i dachówkami otoczone gęstwiną zieleni w małych osadach, stanowiły stały element okolicy, na równi z gęsto usianymi całkiem dobrze do tej pory prosperującymi średniowiecznymi zamczyskami.

Zamieszkałam w typowym dla Berry malowniczym domu z klimatem i atmosferą

przekazywaną z pokolenia na pokolenie u bardzo serdecznej francuskiej rodziny. Codziennie rano dostawałam na śniadanie świeże bułeczki „a la George Sand” i codziennie dawano mi do zrozumienia, że jako rodaczka Chopina, jestem wyjątkowym gościem. Posiadłość George Sand to mała osada, o specyficznym charakterze. Wiejski dwór w stylu Ludwika XV otoczony dzikim parkiem był zaniedbany. Mimo, że udostępniony dla zwiedzających i wpisany do rejestru zabytków państwowych, a tym samym otoczony opieką państwa, nie miał wówczas charakteru muzeum. Przypominał raczej dom w nieładzie, który po jakiejś „burzy” w pośpiechu opuścili mieszkańcy, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Mimo to, gdzieś w ścianach i sprzętach zatrzymała się ciepła atmosfera azylu i wspomnienie szczęśliwych chwil oraz ślady po licznych spotkaniach i częstych wizytach nieprzeciętnych gości.

George Sand urodziła się w Paryżu 1 lipca 1804 roku, a więc 6 lat przed Chopinem, jako Aurora, córka oficera napoleońskiego Dupin’a. Zginął on, gdy Aurora miała 4 lata, spadł z konia nieopodal własnego domu. Ze strony ojca była prawnuczką marszałka francuskiego Maurycego Saskiego, syna Augusta II Mocnego, króla Polski. Ze strony matki natomiast daleką kuzynką Ludwika XVI. Matka, dziecko mezaliansu, nie kontynuowała królewskich tradycji. Jako córka sprzedawcy ptaków na nadbrzeżu Sekwany w Paryżu została podrzędną aktorką. Gdy urodziła Aurorę miała już córkę z poprzedniego związku. Aurora Dupin (późniejsza George Sand) wychowywała się w klasztorze, a potem w domu babki ze strony ojca, w atmosferze niczym nie krępującej, pozbawionej konwenansów swobody. W wieku 16 lat na mocy testamentu babki została właścicielką posiadłości wiejskiej w Nohant i spadkobierczynią pokaźnej sumy w gotówce. Stała się więc bogata, co dało jej pewną niezależność i poczucie samodecydowania o sobie. W wieku 18 lat była już żoną barona Dudevanta z Gaskonii, człowieka młodego i wykształconego, ale ponoć strasznego utracjusza i na dodatek pozbawionego przez macochę majątku po ojcu. Małżeństwo od początku było niedobre tak pod względem fizycznym, jak i duchowym, czy intelektualnym. Mąż z oficera wkrótce przemienił się w wiejskiego hulakę. Codziennie się upijał, wyjeżdżał gdzieś bez słowa, sypiał ze służącymi, drzemał nad książką i nie znosił muzyki. Młoda baronowa szukała więc spełnienia emocjonalnego i duchowego poza domem, nagle gdzieś wyjeżdżała nie mówiąc nic nikomu i włóczyła się konno bez

celu po okolicy. Dzieci baronostwa, Maurycy i Solange od początku pozbawione były uczuć, wychowywane przez służbę tworzyły w swojej wyobraźni mit, który dawał im upragnioną miłość i poczucie bezpieczeństwa. Taka sytuacja trwała 8 lat, kiedy to Aurora po kolejnej awanturze z mężem oznajmiła, że wyjeżdża do Paryża. Matka namawiała ją przed ślubem na spisanie intercyzy, lecz ona uważając się za niezależną nie chciała o tym słuchać. A szkoda. Ówczesne prawo dyskryminowało kobietę, przewidywało karę więzienia dla wiarołomnej żony, a majątek w całości przypadał jej mężowi. To prawo bardzo bulwersowało przyszłą pisarkę i stąd późniejsza maniera i przyjmowanie męskiego image'u, zarówno w wyglądzie zewnętrznym, jak i poprzez przybranie męskiego imienia i nazwiska, jako pseudonimu autorskiego. Dzięki silnej osobowości doprowadziła jednak do rozwodu na jej warunkach i zatrzymała Nohant. Całe życie poszukiwała miłości i wrażeń. O licznych nieformalnych związkach zarówno ze znanymi postaciami paryskiej cyganerii, artystami, ludźmi utytułowanymi, jak i mniej znanymi, np. z lekarzem domowym czy nieśmiałym studentem prawa, było w Paryżu bardzo głośno, dzięki czemu George Sand skupiała na sobie uwagę.

Pokoje w Nohant jest dużo, ale tylko niektóre są obrazem żywej i bujnej fantazji jej mieszkańców. Są to pokoje Chopina i George Sand. Inne, jak np. Solange i Maurycego są ciche i uległe, przykurzone patyną czasu, stojące niemocą w walce z silną indywidualnością matki.

Legenda Chopina i George Sand nie opuszcza tego miejsca do tej pory. Pobyt Chopina w Nohant i ekstrawagancka właścicielka majątku nobilitują mieszkańców okolicy. Czują się oni spadkobiercami ich geniuszu i dlatego z pokolenia na pokolenie pielęgnują tradycję tego miejsca oraz przechowują wspomnienia. Ma się więc wrażenie, że rozmawia się z osobami, które ich na prawdę znają. W małym antykwariacie ze starociami w pobliskim La Chatre zachwyciłam się starą karafką. Wziąwszy ją do ręki usłyszałam od właściciela jej historię. Znaleziona została w parku pod oknem George Sand, wyrzucona w złości przez dziedziczkę po jakiejś burzliwej rozmowie z Chopinem. Na ile w tym jest prawdy, a na ile legenda została dorobiona na użytek własny, nie wiadomo. Nie mniej jednak ludzie z okolic przechowują w pamięci burze i namiętności tego związku.

Pierwsze lata Chopina w Nohant upłynęły w zgodzie i harmonii. Siła twórcza, swoboda, artystyczna atmosfera i ekstrawagancja George Sand bardzo imponowała Chopinowi. A przy tym znalazł długo poszukiwany azyl. Nohant stało się namiastką domu rodzinnego, za którym bardzo tęsknił. Poznawszy George Sand był zaręczony z Marią Wodzińską. Nieudane próby małżeńskie z Marią, której rodzice zerwali zaręczyny ze względu na słabe zdrowie Chopina, spowodowało załamanie duchowe, a niespełnienie marzenia o prawdziwym domu pogłębiły jego depresję. Związek z George Sand dawał mu równocześnie dom, inspirację artystyczną i spełnienie skrywanych, erotycznych marzeń. Pierwsze wakacje w Nohant w 1839 r. Chopin i George Sand spędzali głównie w sypialni, obitej niebieską tkaniną, w łóżku z koronkowym baldachimem, od czasu do czasu robiąc przerwy na konne wycieczki po okolicy. Odwiedzali pobliskie stare zamczyska, wspinali się pod górę by z wysokości podziwiać krajobraz.

Po konnych wycieczkach, zmęczeni znów zaszywali się sypialni pod baldachimem, a służba podawała im posiłek do pokoju. Wtedy ich apartamenty były ze sobą połączone. Z czasem jednak sytuacja się zmieniała. Zaczęły się pojawiać konflikty. Chopin i George Sand zimą spędzali w Paryżu. Do Nohant przyjeżdżali wiosną i mieszkali na wsi do jesieni. Pokój Chopina położony był na pierwszym piętrze z oknami od strony ogrodu. Z pokoju wchodzi się do salonu gościnnego z fortepianem. Pokój George Sand znajdował się nieopodal. Wzrok przyciągały sekretarzyk z mnóstwem skrytek, szufladek i szkatulek z sekretami zamykanymi na kluczyk oraz delikatna i kobieca toaleta z owalnym lustrem. Tylko pokój Chopina miał specjalne, wygłuszone okiennice i obite grubą tkaniną drzwi. George Sand pracowała głównie w nocy, w dzień natomiast spała. Chopin na odwrót. W nocy spał, a pracował w dzień. Mieszkańcy Nohant wspominali Fryderyka jako bardzo skomplikowaną naturę. Z pozoru łagodny, cichy, zamknięty w sobie i w świecie wyobraźni, nagle ulegał wybuchom złości i stawał się nerwowy. Wszystko mu przeszkadzało. Potrafił zamykać się w swoim pokoju, zasłaniać okiennice, nie wpuszczać promienia światła i tak siedzieć tygodniami. Chopin był przeświadczony, że daleko mu do geniuszu, a jako perfekcjonista starał się być najlepszy. Godzinami ślęczał nad nutami przy fortepianie, próbując zapisać swoje myśli. Często dostawał ataku szału, rzucał się na podłogę, krzyczał, darł nuty, walił z całą siłą w klawisze, twierdząc, że nic nie umie i nic nigdy nie skomponuje, że jest jeszcze jedną miernotą na tym świecie. Jego

niepewność siebie i ciągle nanoszenie poprawek było męczące dla wydawców, gdyż niejednemu zdarzyło się, że egzemplarz już wytrawiony na płycie musiał być zmieniany. George Sand twierdziła, że Chopin komponuje w porywie duszy, po czym siedzi miesiącami przy klawiaturze, skreśla i zmienia, by po mozolnej pracy wrócić do pierwszej wersji utworu. Dla domowników ataki szału Chopina były niezmiernie męczące, stąd jego pokój był odizolowaną twierdzą, z wygłuszonymi drzwiami i oknami.

Drogi artystów coraz bardziej się rozchodziły, podobno George Sand znalazła sobie nowego partnera, tymczasem jej dzieci pozbawione ojca i miłości ciągle zajętej sobą matki, dojrzewały. Maurycy próbował wzbudzić zainteresowanie, ale jego próby malarskie nie wywoływały większego entuzjazmu matki. Z poczuciem krzywdy, odrzucony swoją nienawiścią do świata umiejscowił w Chopinie, który w jego oczach odebrał mu matkę. Inna relacja wytworzyła się między Chopinem i Solange. W ciągu siedmiu lat związku Chopina z George Sand, z 11-to letniej dziewczynki stała się 18-to letnią, dorosłą dziewczyną, która we Fryderyku umiejscowiła swoje młodzieńcze uczucia. Był dla niej królewiczem z bajki, po części też wypełniał pustkę po miłości rodziców, której nigdy nie miała. Chopin przyzwyczajony do małej biegającej po domostwie dziewczynki pewnego dnia ze zdumieniem odkrył w niej kobietę. George Sand ciągle nie było, ich związek chylił się ku końcowi, a tu, pod tym samym dachem rozkwitło młode i czyste uczucie. Nie wiadomo kiedy zakochali się w sobie. Pewnego dnia George Sand wróciła z Paryża zbyt wcześnie i zastała Chopina ze swoją córką. Poczuli się upokorzona, odrzucona z bagażem swoich lat i wpadła w furję.

Pokój George Sand wyglądał tak, jakby zaraz miał ktoś do niego powrócić, pokój Chopina natomiast był ruiną, stratowaną przez burzę nienawiści i zazdrości. George Sand zemściła się okrutnie na obydwójgu. Chopina wyrzuciła z domu. Żeby zapomnieć o przeszłości i żeby nic go nie przypominało kazała zniszczyć pokój. Wszystkie sprzęty zostały spalone na dziedzińcu, zerwane zostały tapety, aż do tynku, oraz cała podłoga. Tylko wygłuszone okiennice i drzwi, pamiątka po godzinach pracy wielkiego Fryderyka, przypominają o dawnym mieszkańcu. Solange została wydana za mąż za grubiańskiego, wiele lat od niej starszego rzeźbiarza, Augusta Clesingera, który niegdyś był kochankiem matki. Dostała posiadłość w posagu i George Sand nigdy już jej chciała znać.

Tak mówią ludzie, źródła natomiast zdają się nie potwierdzać takiej wersji. Z zachowanych listów może wynikać, że Solange była już żoną Augusta Clesingera, kiedy popadła w konflikt z matką. Ponieważ Chopin wystąpił w roli mediatora i w 1847 r. napisał list do George w imieniu Solange, George wpadła w furję z powodu jego jawnego wstąpienia do „oboju wroga” i zerwała związek z kompozytorem. Zniszczyła jego listy i stwierdziła, że od dawna była nim zmęczona.